Rozmaitości

DNIA 21. CZERWCA Ner 25. 1834 ROKU.

FAKIR I PIĘKNA INDYJANKA.

(Z dziennika *Oriental Annual.*)

W Budszerowie, gdzieśmy wypoczywali przed wyjazdem naszym do Gazipuru, rozmawialiśmy także między innémi o tém, z jaką świętością i czcią przesądną przywiązani są Indowie do rozmaitych kast swoich, i że oni, wyjąwszy mało tylko przypadków, zniweczają wszelkie usiłowania misijonarzy, chcących wydobyć ich z bałwochwalstwa. Nawrócenie ich, choć kiedy w istocie przyjdzie do skutku, nie trwa jednak długo. W ciągu rozmowy téj zrobiłem uwagę, że kobiéty indyjskie, wyjąwsze te może, co naganne prowadzą życie, rzadko przywiązują się do mężczyzn innéj kasty. Oto np: mówiłem daléj, tak wielką czują odrazę od zwolenników Mohameda, że byłoby rzeczą niepodobną prawie pokazać choć jeden przykład, że Indyjanka za mozlemitanina (wyznawcę wiary proroka) poszła.

»Pozwól przerwać sobie, *sahibie* (panie),« rzekł w téj chwili stojący za mną niewolnik, »ale sam jestem przykładem żyjącym przeciwnego zdania, gdyż żona moja była Indyjanką, a wyrzekła się kasty i religii swojéj dla pójścia za mnie. Od lat dwunastu nie był małżeński spokój nasz ani na chwilę przerwany. Porzuciła żona moja cześć Bramy i poświęciła się Mohamedowi z gorliwością, dającą jéj miéjsce w rzędzie najszczérszych zwolenniczek wiary naszéj, i niewątpliwie zostanie z czasem *hurysą* raju.«

»Lecz jakże« zapytałem, »potrafiłeś zniszczyć przesądy twojéj Indyjanki i jéj przychylność pozyskać?« — »Łatwo to pan pojmiesz,« odpowiedział, »jeźli zechcesz historyi życia mojego posłuchać.«

»Przed cztérnastą laty,« zaczął opowiadanie niewolnik, »mieszkałem w mieście, do którego właśnie dążymy. To miasto, wraz z okolicą, napełnione było wtedy mnóstwem ludzi, co pod imieniem *fakirów* (mnichów w Indyjach wschodnich), wybiérali od szczodrobliwych dusz podatek, a którym czasem za pomocą zmyślonéj pobożności udawało się nawet, wyłudzić płacę od najbogatszych i najmożniéjszych władzców Indostanu. Umieją obłudą tak chytrze na swój użytek obracać niewiadomość swoich bałwochwalczych ziomków, że w wielu przypadkach wywiérają nad ich rozumem nieograniczoną władzę. Sąto najbezwstydniéjsi łotrzy, którym każdy środek przyjemny, skoro prowadzi do celu, jaki sobie zamierzyli, a zatwardziałość ich umysłu sprzeciwia się wszelkim moralnym sposobom zaradczym. Za miastem stała w owym czasie starożytna ruina, gdzie znajdowało się małe, posępne, do połowy w ziemi opoczystéj wydrążone pomieszkanie, do którego prowadził długi wązki kurytarz, a które tylko otworem w dachu cokolwiek światła dostawało. Ponure to oświécenie, podobne temu, jakie rozléwa się po rozjaśnionych jedną lampą grobach, robiło tę pustą, opuszczoną kryjówkę jeszcze bardziéj odrażającą. Mieszkał tam słynący z świątobliwości *Ab'dhout.** Zaufanie, które w kraju miano do niego, było tak wielkie, że przypisywano mu moc leczenia samem tylko chuchnieniem najuporczywszych słabości ciała i duszy. Człowiek ten byłto prawdziwy potwór, rodzaj karła, i chociaż młody jeszcze, był wszakże całkiem skurczony. Podobnie do żywego kościotrupa kości jego

* *Ab'dhouty*, sekta *fakirów.*

)(

tak widocznie na powierzchni skóry wystawały, że nędzne, wychudłe cielsko jego, byłoby mogło służyć anatomom do nauki osteologicznéj. Tę szpetność ciała przewyższał jeszcze niemiły, prawdziwie szatański wyraz twarzy. W oczach jego błyszczała czasem dzikość, taka, jak w oczach *azurów*:* niekiedy przebijała z nich sardoniczna pokora, zdradzająca obłudę, właściwą spojrzeniom takich oczu.«

»Wiedziano, że *fakir* ten miał przy sobie młodą i piękną Indyjankę, wierną towarzyszkę samotności swojéj, lecz rzadko ją tylko widywano, gdyż szkaradną jaskinią swoję wtedy tylko opuszczała, kiedy szła po wodę, lub gdy się zajmowała inném jakiém domowém zatrudnieniem. Miewałem sposobność widywania ją, jak *gumlahsy*** swoje napełniała w rzéce; lecz było zagadać do niéj, wnet ponurc przestrzegała milczenie, a bojaźliwe jéj postępowanie i drzenie jéj okazywały wyraźnie, że znajduje się pod wpływem okropnéj i tajemniczéj potęgi. Ach! muszę wyznać, że im częściéj widywałem ją, tym mocniéjsze wrażenie robiła na mnie jéj piękność i wkrótce skrupuły surowego izlamizmu mojego uległy gorącemu pragnieniu, jak najprędzéj poznania bliżéj téj powabnéj poganki. Wiadomo było, że miała ze troje dzieci, ale ponieważ te zaraz po urodzeniu niknęły, więc mówiono o nich, iż wzięte zostały po między *sury* (dobre duchy) raju, a to na łono *sywy*, jako potomkowie jego zastępcy na ziemi.«

»Gdym razu jednego znowu tę młodą niewiastę obaczył, postanowiłem spróbować, azali nie dowiém się czego o jéj stosunkach z *fakirem*. Z daleka poszedłem za nim ku miastu, dokąd spieszył właśnie, lecz wnet wróciłem się odwiédzić ofiarę jego w więzieniu. Przesądna bojaźń, jaką wszystkich ten *fakir* przenikał, wstrzymywała każdego od zbliżenia się ku jego siedzibie, jakoż byłoto po raz piérwszy, że ta biédna młoda niewiasta, oprócz tego potworu, do którego przeznaczenie jéj było przykute, widziała w jaskini swojéj innego człowieka. Postrzegłszy mię zadrżała i, wydawszy słaby okrzyk, wpółmartwa padła na ziemię. Zaklinała mię, ażebym ją natychmiast opuścił, mówiąc, że gdyby jéj tyran mię zastał, wszystkiegoby się lękać musiała po jego barbarzyńskiéj zemście. Byłoto wymowne odwołanie się do ludzkości mojéj, któremu oprzéć się nie mógłem, i czułem się być najmocniéj wzruszony na widok téj rozrzewniającéj piękności, która padła ofiarą istoty, okrom nazwiska nic z człowiekiem wspólnego nie mającéj. W pomieszkaniu *fakira* dla braku przewiewu powietrza była wilgoć i zaducha. Młoda niewiasta znajdowała się właśnie pod samym otworem w powale, przez który światło wchodziło, a którego jasny promień padł na nią i oświécił jéj żałośnie-błagalną postać i wyraz największéj trwogi na jéj licu. Nic nie mówiąc wskazała na drzwi, jak gdyby się lękała, ażeby ton jéj głosu nie doszedł do uszu tego, którego więcéj się bała, jak piekieł dwadzieścia jeden Indyjanów. Starałem się powtórnie skłonić ją do zeznania, czy z własnéj woli zostaje tutaj niewolnicą, lub czy ją zmuszono do tego, lecz całą jéj odpowiedzią była łza, która, zrosiwszy rzęsy, po licu jéj pociekła. Zbliżyłem się ku niéj, lecz z obrzydzeniem odwróciła się ode mnie, jak gdybym był chorobą zaraźliwą dotknięty. Rzecz naturalna; wszakże byłem mozlemitaninem, a ją uczono, uważać wyznawców Mohameda za stworzenia, godne pogardy. Zbliżenie się moje posłużyło tylko do pomnożenia jéj trwogi, i na żaden sposób nie mógłem ją uspokoić. Widząc ją w stanie tak politowania godnym, oddalić się uważałem za rzecz roztropną. Opuściłem zatém jaskinią, w któréj na dożywotnie więzienie skazana była, i szedłem po omacku przez ciemny kurytarz, aż w końcu dostałem się do światła z rozrzewnieniem w sercu, którego nie podobna mi było utłumić. Zaledwo opuściłem to miéjsce zgrozy, gdy z największém przerażeniem tuż koło mnie *fakira* postrzegłem. Był pozór, że szedł zaraz za mną, i że widział, jak wychodziłem z jaskini. Milcząc przeszedł koło mnie, lecz duże oczy jego biegały w swoich obrębach, a wzrok kipiał śmiercią i zniszczeniem. Przeszedłem spieszno, ale skoro byłem pewny, że wszedł do jaskini, i że mnie już widziéć nie może, powróciłem nazad i tak ukryłem się w kurytarzu, że wprawdzie mógłem słyszéć wszystko, co się działo, ale

* *Azury*, złe duchy, podług mitologii indyjskiéj.
** *Gumlahsy*, naczynia na wodę, przez niewiasty indyjskie na głowach noszone.

nic widzieć nie mogłem. Ponieważ nie przypuszczał téj myśli, ażeby się kto ośmielił podczas obecności jego znieważać osobą swoją świętość jego siedziby, więc ani przeczuwał, że się tam znajdować mogłem. Z resztą za nadto był zatrudniony swoim zbrodniczym zamysłem, iżby był mógł o czém inném pomyśléć i cała postać jego oddéchała zemstą. Co tylko obrałem sobie wygodne stanowisko, gdy usłyszałem, jak potwór ten wydał okrzyk utłumionéj wściekłości, podobny do syczenia węża, i jak ofiarę swoję najgwałtowniejszémi za to obarczał obelgi, że świątynią jego pozwoliła zbezcześcić nogą obcego człowieka, nogą mohamedanina. Nieszczęśliwa, jak mi się zdawało, była niema z przerażenia, gdyż ani słowa nie wydały jéj usta, i słyszałem tylko jéj mocne szlochanie, grożące pierś jéj rozsadzić. Obwiniał ją o spółkowanie z człowiekiem, godnym pogardy, a nakoniec zaklął się w okropnych wyrazach, że ona ku zmazaniu téj hańby, która tém samém i na niego spada, umrzéć musi. Słyszałem jak młoda niewiasta padła na kolana, jak wzdychała, jak prosiła; słyszałem, jak zaręczała o niewinności swojéj, lecz wszystko to nic nie pomogło. Okrutnik, którego błagała, nie był zdolnym do litości; z wściekłości zgrzytał zębami, słyszałem jak podnosił tasak — i tu już wstrzymać się nie mogłem. Wypadłem z mojego ukrycia i stanąłem przy nim w chwili, gdy chciał tasakiem ciąć w głowę swoję ofiarę. Byłem wtedy żołnierzem i nosiłem szablą, wydarłem więc mordercy tasak z ręki i szablą przeciąłem mu gardło. Padł, szkaradnym sposobem rozdziawiając gębę. Ciało jego skurczyło się na chwilę, poczém karłowata postać jego jeszcze się mniéjszą wydała, a wreszcie rozciągnął się, jak długi, charcząc pasował się ze śmiercią i skonał. Krwią zbroczył podłogę, a trup jego podobny był do nieżywéj gadziny, która zgnieciona nawet zawsze jeszcze była przedmiotem obrzydzenia i zgrozy. Rzuciłem na niego wzrokiem w połowie pogardliwym, w połowie tryumfującym, i takie przenikało mię uczucie, jak gdybym zabił tygrysa. Postąpiłem teraz do biednéj i zawsze jeszcze na niebezpieczeństwo, z jakiego przybyciem mojém ocaliłem ją, drzącéj niewiasty. Patrzyła na mnie tak obłąkanym i bojaźliwym wzrokiem, że z razu lękałem się już, azali rozum jéj nie uległ okropnemu ciosowi. Starałem się uspokoić ją i przekonać oraz, jak mocno nią się zajmuję. Nareszcie przyszła do siebie, spojrzała na leżącego u nóg swoich wroga, a potém rzuciła na mnie spojrzeniem, malującém daleko wymowniéj, jak słowa, wdzięczność, i rozpływała się we łzach.«

»Nie było czasu do stracenia, a ja tym większą miałem chęć do ucieczki, im więcéj o tém przekonany byłem, że zabójca tak poważanéj osoby nie był bardzo bezpieczny pomiędzy mieszkańcami kraju fanatycznego, i że byłbym niezmiernie prześladowany, gdyby się rozgłosiło o śmierci *fakira.* Ale za to z drugiéj strony byłem pewny, że mię do niejakiego czasu nie odkryją, gdyż dotąd nikt się nie poważył odwiédzić jaskinią *fakira.* Skłoniwszy się wreszcie do oddalenia się, prosiłem piękną, przypadkowie opiece mojéj poruczoną wdowę *fakira*, ażeby towarzyszyła mi w podróży, na co ona, bądź z wdzięczności, bądź z przywiązania do wolności, z radością przystała. W drodze przebrała się po turecku i tak jechaliśmy po kraju, aż do piérwszego portu na rzéce. Tu nająłem statek, który nas zawiózł do Kalkuty i w téjto podróży opowiedziała mi towarzyszka moja, jakim sposobem dostała się w moc swojego ciemiężcy. Była córką bogatego *Cszatry** z okolic Delhi. Niegodziwy *Ab'dhout* mieszkał nie daleko domu jéj ojca w jaskini, podobnéj do teraźniéjszéj, a władza, jaką ten pustelnik wywiérał nad ojcem, była tak wielką, że ten trzymał go za istotę, mocą boską obdarzoną. Poczciwy człowiek ów był dla *fakira* z takiém lękliwém uszanowaniem, jakie czuł dla *sywy*,** złego ducha, lub dla *parwaty*, małżonki tego bożyszcza, jeszcze od niego straszniéjszéj. Nieustannie wpajał w córkę swoję największe wyobrażenia o cnotach *fakira*, tak, że i ona z czasem w obecności tego nędznika czuła się przejętą pewném mimowolném uczuciem przesądnéj uległości. Chytry łotr ten znalazł pewnego razu

* Wiadomo, że Indowie dzielą się na cztery kasty: *Braminów, Cszatryasów, Waisyasów* i *Sudrasów*. Pierwsi, według swoich ksiąg świętych, wyszli podczas stworzenia z ust Bramy, drudzy z rąk jego, trzeci z ud, a czwarci z nóg. Dla tego też *Sudrasy* są najprościejszą i najniższą kastą.

** *Sywa*, jestto moc niszcząca *tryjady* indyjskiéj.

sposobność zwabienia ją do jaskini swojéj, pod pozorem połączenia z duchem boskim, gdzie oraz odkrył jéj wolą swoję zatrzymania ją przy sobie. Gdy o tém ojcu powiedziała, ten błogosławił swoje i córki swojéj przeznaczenie, życząc sobie szczęścia, że wybór takiego człowieka padł na jego dziecko. Biédna Indyjanka tak bardzo bała się nadprzyrodzonéj mocy *fakira*, że nie śmiała uchronić się od obcowania z nim. Troje dzieci wydała na świat, które zbrodzień ten zaraz po urodzeniu zabijał, a potém kłamał, że przeniosły się ku niebiańskiemu tronowi Bramy, jako potomkowie nader bogom upodobanego człowieka. Wyznała mi także, że aż do dnia tego, w którym szczęście chciało, ażebym ją oswobodził, pędziła najnędzniéjsze życie pod jarzmem najokropniéjszém.

PRAWDZIWY ROBINSON.

(Z dziennika *Blätter für literar. Unterhaltung.*)

Alexander Selcraig, który imię swoje na Selkirka zmienił, urodził się w Largo, hrabstwie Fife, w Szkocyi, r. 1676. Ojciec jego, szewc, postępował z nim z surowością, przez nieporządne życie jego aż nadto usprawiedliwioną. Było zwyczajem w Szkocyi, młodych, źle zachowujących się ludzi publicznie karać w kościele. Po takiém napomnieniu kościelném zniknął Alexander z miéjsca swojego urodzenia; udał się do portu morskiego i wsiadł na okręt. Niesforny charakter, który tak częste kary ściągał nań w młodości, był mu na przeszkodzie do zrobienia szczęścia w marynarce. Zbiegł więc i zaciągnął się do bandy rozbójników morskich na Oceanie Indyjskim. W sześć lat po ucieczce swojej wrócił do Szkocyi. Wkrótce obrzydło mu życie na stałym lądzie, gdzie charakter jego ściągał mu codzień nowych nieprzyjacioł; i wrócił na okręcie *Dampier* na Morze Południowe. Kapitan Stralding, dowodzący tym okrętem, na którym Selkirk służył, zmuszony był często go karać, tak, że ten majtek postanowił nakoniec, uchylić się od wszelkiéj karności. Podczas gdy okręt przebywał na wyspie Juan Fernandez, ukrył się Selcraig w lesie, dopoląd okręt nie odpłynął, i żył samotnie na wyspie, gdzie lat cztéry i cztéry miesiące przepędził. R. 1700 zastał go tam kapitan Rogers, wziął na pokład i zawiózł do Anglii, gdzie Daniel de Foë, Steele i inni znakomici mężowie czasu tego wypytywali go często o szczegóły jego dzikiego życia. Steele umieścił o nim artykuł w pismie *Tatler*. Już było pięć oddzielnych opisów jego przypadków wyszło, gdy Daniel de Foë, upładniając swoim duchem twórczym te nieokrzesane materyjały, napisał z tego Robinsona Krusoe, rodzaj epopei popularnéj. Wielka, filozoficzna myśl służyła za posadę do dzieła tego; chciał nią dowieść niewyczerpane źródła pomocy, które człowiek ma zawsze podoręczu; chciał okazać, że gdy sami znajdujemy się z naturą, to jest z Bogiem, iż wtedy umysł nasz, choćby był nawet obłąkany, powraca do religijnego zaufania. W którémże kawaniu znajduje się moralność tak podziwienia godna, jak w Robinsonie, w tym wybornym romansie, a jednak żaden księgarz drukować go nie chciał! Tylko za usilném wdaniem się jednego z przyjacioł autora nabył William Taylor rękopismo dzieła tego za 10 funt. Zaledwo pismo to wyszło, gdy przeciwnicy Daniela de Foë zaczęli knuć podstępy, a miał ich wiele ten śmiały, poczciwy i utalentowany autor. Jedni utrzymywali niedorzecznie, że autor kupił rękopismo dzieła swojego od Selkirka; drudzy zaś nazywali Robinsona Krusoe Don Quichottem. Ale naród wydzierał sobie prawie ten tylu nieprzyjacioł mający romans. »Nie było staréj niewiasty,« pisze Gildon, »coby nie składała parę feników, dla kupienia sobie Robinsona w końcu miesiąca.« Gildon z resztą był poetą satyrycznym i nie był bynajmniéj czcicielem Daniela de Foë. Hiszpanie mają katolickiego Robinsona. Arabowie kładą Robinsona w równi z swojémi najlepszémi powieściami; pod tytułem: *Dour-el-Bakoul* (Perła Oceanu) jest on u Arabów rywalem Sindbada i rozkoszą puszczy.

Z pomiędzy licznych romansów, wydanych przez de Foë w latach poźniéjszych, żaden słynnym nie został. Któż czytał »Historyją Moll Flandersa,« »Pamiętniki kapitana Carleton,« »Życie Roxolany,« »Pułkownika Singleton« i t. p.? A jednak wszystkie te dzieła, co się tycze interesu dramatycznego, wierności i energii w obrazach, równają się niezawodnie Robinsonowi. Każdy z tych romansów jest godny uwagi, i wszystkie mają na sobie piętno

jenijuszu. Do najosobliwszych płodów tego obfitego autora należy »Historyja powietrza w Londynie r. 1665,« którąto książkę wielu krytyków, a nawet doktor Mead, uważało za dokument autentyczny. De Foë ledwo miał lat cztéry, gdy to powietrze w Londynie grasowało. Nie sąto więc własne jego uczucia, które maluje; jestto dramat, który sam utworzył. Wprowadza siedlarza z Whitechapel, kreślącego przerażający obraz zniszczonego przez powietrze miasta, ulic, na których trawa rośnie, katakombów, przepełnionych trupami, wywoływaczów, którzy wołają: »Znoście tutaj trupy wasze,« i zbrodniarzy, co pośród scen tych zgrozy dopuszczają się najokropniéjszych rozpust. A to wszystko z taką prawdą, tak naiwnie, z przyłączeniem liczb i wykazów statystycznych śmiertelności, napisał, że czytelnikowi ani na myśl nawet nie przyjdzie, iż ten opis jest tylko zmyśleniem.

Daniel de Foë umarł ubogo i nędznie. Niewdzięczność syna, któremu majątek ustąpił, a który matce swojéj (żonie Daniela de Foë) dopuścił żebrać i umrzéć z głodu pod drzwiami swojémi, śmiertelnym ciosem ubodła serce starca. »Nie uskarżałem się nigdy,« pisał do przyjaciela swojego Bakera, »nic nié ma takiego, coby mię ugiąć potrafiło; a to mię jedno dotknęło!« Potomność nie była dotąd sprawiedliwszą dla niego, jak współcześni. Robinson zaćmił szczęściem swojém autora, sława jego pochłonęła sławę poety. Dziś nie wiedzą nawet, jak imię jego pisać należy; czy nazywał się Foë, czy de Foë, De Fooë, czy Foy. My nie znamy żadnego Foë, tylko Robinsona. Jestto istotnie rzeczą bezprzykładną w dziejach literatury, ażeby autor zginął we własném dziele, ażeby imię jego utonęło w jego sławie. Daniel de Foë rzucił światło na wszystkie gałęzie ekonomii politycznéj, wewnętrznéj policyi, teoryi rządu i religii, dziejów i estetyki. Pisał pełne dowcipu i ducha obrazy obyczajów; piérwszy zaczął wydawać w Anglii literackie pismo czasowe i z nimto rozpoczyna się literatura peryjodyczna, którą Anglija tak słusznie się pyszni. De Foë, prawdziwy Don Quichotte prawdy, walczył z tymi wszystkimi, którzy nieprawdą żyli. Łączył dobrotliwość księdza de St. Pierre, z delikatną ironiją Cerwantesa, oraz z czystym, spokojnym rozumem Locka. Żaden pomnik nie zdobi grobu tego wielkiego męża. Nié ma ani jednej zupełnéj edycyi dzieł jego.

GROBOWIEC W PUSZCZY.

Niebo błękitne, księżyc rozogniony,
Stoletnie jodły nachylają czoła;
Z daleka głuche słychać cerkwi dzwony,
Trąby pasterskie jęknęły dokoła!

Wszystko się modli, i ja kończę modły
Na krzyżu wsparty samotny wędrowiec;
Lecz nim odejdę, uszczknę gałąź jodły,
Świeżemi kwiaty uwieńczę grobowiec.

Grobowiec głuchy, wśród gęstéj krzewiny,
Strzegą olbrzymie, mchem obrosłe sosny,
A na grobowcu krzyż z twardéj cisiny,
Barwnemi kwiaty uwieńczony wiosny!

Czyliż i puszczę ożywia westchnienie?
Któż w wieńce splatał te kwiaty, te kłosy?
W które księżyca wplątane promienie
Drzą w kroplach czystych, kroplach łez, czy rosy?

Kiedy myśliwy hardy i zuchwały
Przez te wyłomy lotną sarnę goni,
Gdy się zapuści między knieje, skały,
Stanie przy krzyżu i łezkę uroni,

Widząc znak krzyża pielgrzym zboczy z drogi,
I z łzawem okiem przyklęknie na grobie;
Osty wyrywa, poobcina głogi,
W pamiątce gałąź zostawia po sobie.

Hoża Hucułka z téj poblizkiej chatki,
Gdy księżyc blady po za skały wschodzi,
Nad brzegiem Pruta zbiéra barwne kwiatki,
Niemi krzyż wieńczy, z modlitwą odchodzi.

Któż ten grobowiec wykopał głęboki?
Któż krzyż wyciesał, pozasiewał kwiaty?
Któż garstką ziemi przysypał te zwłoki?
Któż nad tym grobem modlił się przed laty?

Któż tu przychodził cień błędną przywitać,
Gdy z grobu wstaje w północnéj godzinie?
Tych skał, tych jodeł możesz się zapytać;
Zapytaj Pruta co przy grobie płynie!

W górach Karpackich r. 1833.

KAROL ANTONIEWICZ.

WASHINGTON.

Chateaubriand w »Pamiętnikach swoich,« z których wyjątki umieszczone były w różnych dziennikach, w ten sposób opisuje swoje odwiédziny u Washingtona: »Mały domek, w smaku angielskim, zupełnie do sąsiednich

podobny, byłto pałac prezydenta Stan. Zjedn.; nie było straży, nawet służących. Młoda dziewczyna otworzyła drzwi. Zapytałem, czy jest jenerał w domu. »Jest« odpowiedziała. Mówiłem jéj daléj, że mam list do oddania; ona spytała mię o imię, które Anglicy tylko z trudnością wymawiają, i którego nie spamiętała. Rzekła grzecznie: »*Walk in, sir!*« (wejdź pan, proszę), a idąc przede mną owym wązkim długim kurytarzem, jakie w domach angielskich znajdujemy, zaprowadziła mię do pokoju, gdzie jenerała czekać miałem. Spodziéwane ujrzenie go nie wzbudzało mego umysłu; wielcy ludzie i wielkie szczęście nie sprawiają na mnie wrażenia; podziwiam się nad piérwszémi, wszelako nie czuję się być przy nich uniżonym; wielkość światowa więcéj litości jak uszanowania we mnie wzbudza. Nigdy twarz człowieka zmieszać mię nie potrafi. W kilka chwil wszedł jenerał. Byłto wysoki, silny mężczyzna, z rysami twarzy więcéj spokojnémi i zimnémi, jak szlachetnémi. Na rycinach jest zwykle bardzo dobrze trafiony. Milcząc oddałem mu list; rozpieczętował go i zaraz na podpis popatrzył, który głośno odczytał: »A! pułkownik Armand!« (tak podpisał się marg. de Rouaire).

»Usiedliśmy, a ja, wedle możności mojéj, skréśliłem mu, jak najdokładniéj, powód mojéj podróży. Odpowiadał angielskiémi lub francuzkiémi pojedyńczémi wyrazami i słuchał mię z pewném zadziwieniem. Przysunąłem się do niego i rzekłem cokolwiek żywiéj: »Zaiste daleko jest łatwiéj odkryć przeprawę północno-zachodnią (przyczyna podróży Chateaubrianda do Ameryki) jak stworzyć naród, co wćpan uczyniłeś.« — »*Well, well, young man!*« odrzekł, podając mi rękę. Zaprosił mię na obiad na dzień następny i pożegnałem go. Na wezwanie to stawiłem się jak najpunktualniéj. Nie zastałem tam więcéj jak sześć obcych osób zaproszonych. Rozmowa toczyła się prawie o saméj tylko rewolucyi francuzkiéj. Jenerał pokazał nam jeden z kluczów bastyli. Te klucze od bastyli były wtedy niedorzeczną igraszką i rozeszły się po obu częściach świata. Gdyby był Washington widział zdobywców bastyli, tak, jak ja, mniéj byłby cenił tę swoję relikwiją. To więc było widzenie się moje z mężem, który całemu światu dał wolność. Washington wstąpił do grobu, nim imię moje cokolwiek tylko znajomszém się stało. Będąc zwyczajnym, nieznanym, młodym człowiekiem, widziałem go w całéj jego świetności. Imię moje może ani dnia jednego nie pozostało w jego pamięci, a jednak szczęśliwy jestem, że spojrzenia jego na mnie spoczywały; ogrzéwają mię one przez resztę mojego życia. Znajduje się pewna cnota w spojrzeniu wielkiego człowieka.«

PODRÓŻ DO BRZEGÓW CHIŃSKICH.

O niemieckim podróżniku Karola Gützlaff otrzymano w Berlinie nowsze wiadomości, to jest: o trzeciéj podróży jego, przedsięwziętéj do brzegów chińskich, a zwłaszcza do okolic, dokąd może jeszcze nie dostał się żaden okręt europejski. Świadomy języka chińskiego robił tę podróż na okręcie *Sylf*, któremu za tłumacza towarzyszył, a który wyprawiony był dla porobienia związków handlowych na korzyść Anglików w Kalkucie. Pan Gützloff opuścił Macao d. 21. października r. 1832, a d. 7. Marca 1833 znajdował się w Niupi-kong, prowincyi Sza-kiang. Podług doniesień jego mieli podróżni w końcu listopada roku 1832 pod 40° połud. szerok., a 131° wschod. dług. od Greenwich do walczenia z tak okropną burzą, i z tak tęgiemi mrozami, że zmuszeni byli zmienić zamiar dokładnego zwiedzenia brzegów Mandszuh-Tartaryi i wrócić do okolic, więcéj ku południu położonych. Nie daleko Kai-szu, wielkiego handlowego miasta tatarskiego, okręt ich zapędzony został na piaski, gdzie się omal nie rozbił. Mandarynowie (urzędnicy) i tu się bardzo nieprzyjaznymi okazywali, i odmawiali wszelkiéj pomocy, lecz mieszkańcy przeciwnie byli uczynni i przyjacielscy. P. Gützlaff jest tego zdania, że, jakkolwiek rząd chiński jest temu przeciwny, w końcu jednak po przychylności mieszkańców spodziéwać się należy, że z czasem przyjdzie do skutku związek handlowy ze wszystkiemi nadbrzeżnémi krajami Chin. W ostatniéj podróży swojéj, sześć miesięcy i dziewięć dni trwającéj, zwiedził pan Gützloff wiele nowych i ciekawych miejsc, mianowicie miasto Sza-po, będące jedyném miejscem handlowém między Japoniją i Chinami, krainę Szuson i wyspę Pu-to, zamieszkałą przez wielu kapłanów budhickich. Wyprawa ta, powróciwszy dnia 29. kwietnia r. 1833 do Macao, najwięcéj zadowolona była skutkami podróży swojéj do Sza-kiang i Fokien.

(Blatt. für. Kunst. Indust. u. Handel.)

— Ze Lwowa. —

W Pszczole Czeskiéj czytamy umieszczony artykuł pod nazwą: »Cokolwiek o teatrze polskim we Lwowie i o przekładach z obcych języków.« Dr. Chmeleński, czyniąc w tym artykule wstęp do rozprawy: jaką korzyść przekłady z obcych języków przynoszą; co przekładać, a co zaniechać należy; jak się co dobre samo sobą ostoi, a liche samo sobą upadnie; jak zbyteczne wybredzanie istotną jest zawadą powszechnéj oświaty, zwłaszcza wtedy, gdy jeszcze inaczéj żadną miarą być nie może; potrąca ubieżno i o teatr polski we Lwowie w ten sposób: »Czytamy w dzienniku wiedeńskim *Theaterzeitung*, że teatr »polski jest uczęszczany, i że grający wielkiéj usilności przykładają, aby zadowolnić oczekiwanie publiczności. Bywają »tam czasem dawane i fraszki ze śpiéwkami z niemieckiego »przełożone: »Chłop milijonowy,« »Udana Katalani,« »Król »Alpów« i t. d. Bardzo mylne jak i śmieszne jednakże »jest zdanie referenta, który ze Lwowa w Teatralnéj Gazecie »Wiedeńskiéj donosi, jakoby tłumacze powyższych fraszek »imiona autorow niemieckich umyślnie w tym zamiarze »taili, aby Polacy ich przekłady mieli za pierwotwory. »Jak smutny (mówi Dr. Chmeleński) byćby musiał stan »literatury polskiéj, gdyby jéj takie lichotki *(chudobinky* »mówi Czech) za ozdobę posłużyć musiały! jak to w swo»jéj mądrości pan referent myślić raczy. *Risum teneatis* »*amici!*« (Za tak zaszczytne o teatrze polskim i dramatycznéj literaturze polskiéj wspomnienie składamy panu Chmeleńskiemu powinne dzięki. Musimy wszakże oświadczyć, że sztuk: Chłop milijonowy, Udana Katalani i t. d. które nie tylko na język polski, lecz i na inne są przełożone i wszędzie nie tylko w Niemczech, lecz także we Francyi, a »Udana Katalani« nawet w Londynie, z upodobaniem były przyjęte, nie uważamy za *lichotki*. Takiém twierdzeniem skrzywdzilibyśmy i autorów tych sztuk i światłą publiczność stołecznych miast niemieckich, a może najbardziéj samych siebie. Kto czytał Gazety Berlińskie przypomnie sobie, jakiego przyjęcia w Berlinie doznał »Chłop milijonowy« i autor jego, pan Raymund, w roli chłopa milijonowego; i jak krytycy berlińscy o téj sztuce sądzili. Co do zarzutu zaś, jakoby we Lwowie tajono imiona autorów sztuk powyższych i innych im podobnych w przekładzie polskim, ten, jako niesłuszny i niedorzeczny, ze wzgardą odpiéramy. Sztuki te, nim na język polski zostały przełożone, znane już były publiczności z przedstawień w pierwotworze. Część polska publiczności naszéj z równém upodobaniem odwiedza teatr niemiecki, jak polski, i wszystkim dziełom teatralnym, bez różnicy narodu, już samém na ich przedstawę uczęszczaniem oddaje hołd, jenijuszowi autora należny. Imiona autorów są u nas znane powszechnie z samych afiszów niemieckich. Jakżeby w tłumaczeniu polskiém zatajone być mogły te imiona? Do tego dyrekcyja sceny polskiéj ogłasza w pierwszych afiszach imię autora, mającéj się w języku polskim wystawić sztuki, z niemieckiego przełożonéj; jeżeli po kilkokrotném takiéj sztuki przedstawieniu pomija imię autora pierwotworu, to dla tego jedynie, że to imię powszechnie tak jest wiadome, iż dalsze jego powtarzanie byłoby zbyteczne, a nawet śmieszne. Są nawet sztuki, jak np: *Der Alpenkönig*, co w tłumaczeniu tak zostały przerobione i zmienione, że tylko myśl pierwotworu została, resztę uważać można za oryginał. A przecież i w takim przypadku imię autora pierwotworu zawsze bywa wymienione. Prosimy więc szanownego redaktora Wiedeńskiéj Gazety Teatralnéj, iżby raczył zalecić swemu korespondentowi lwowskiemu, aby ze Lwowa prawdę, nie brednie, donosił.)

Dnia 10. b. m. dawał JP. Michał Jackowski w teatrze tutejszym koncert na flecie. Grał koncert utworu Fürstenaua *(in modo di scena cantante)* i waryjacyje z ulubionéj temy melodramatu: *Preciosa*. Dopomagali mu talentami swojémi JPi Pohl-Beisteiner śpiéwem, JP. Ruckgaber grą na fortepianie, a JP. Braun na skrzypcach. JP. Nowakowski zaś sprawił nam niespodziewaną przyjemność deklamacyją pięknéj ballady A. E. Odyńca: »Wesele.« Teatr był dosyć napełniony, wszelako nie tak licznie, jak talent koncercisty zasługiwał.

Nie będzie obojętną dla czytelników naszych krótka bijografija Augusta Krasińskiego, autora nieporównanego Agaj-Hana, powieści historycznéj, wyszłéj w roku bieżącym we Wrocławiu (o któréj wspominaliśmy już pochwalnie w tém pismie). Krasiński rozpoczął zawód literacki powieścią, pod napisem: Grób rodziny Reichstatów, z dziejów 30letniéj wojny. Umieszczona była w »Rozmaitościach Korespondenta Warszawskiego« z r. 1828; poźniéj osobno wydana. R. 1830 wydał w Warszawie romans historyczny: Władysław Herman i dwór jego, tomów trzy. Tu rozwinął wiele pięknych zdolności, i dowiódł znajomość rzeczy dawnych. Tegoż roku wyszedł w Warszawie przez niego pisany Ułamek sławiańskiego rękopisma, w którym zapowiadał godnie pisarza Agaj-Hana. W r. 1830 napisał także powieść Gastold, w Rzymie naówczas bawiąc; zrobił z Mickiewiczem zakład, iż w 24 godzinach napisze tę powieść, i zakład wygrał. Prócz Agaj-Hana czytałem w rękopismie powieść jego Przeor, a słyszałem o innéj, przez niego napisanéj, wielkiéj wartości, pod nazwą Adam Szaleniec. Jest synem jenerała jazdy w byłém wojsku polskiém, hr. Wincentego Krasińskiego, i od lat pięciu bawił ciągle za granicą, bądź we Włoszech, bądź w Szwajcaryi. A. G.

Zawiadowca księgarni Wenedicta w Wiedniu, P. G. Dunder, który już dawniéj przez zaprowadzenie tamże oddzielnéj księgarni sławiańskiéj wielką sobie był zjednał zasługę, teraz nierównie także zasłuży się wydaniem prawdziwie klasycznego, a dla literatury sławiańskiéj tak nader ważnego dzieła: *Andrie Kacicha Razgovor ugodni naroda slovinskogo*; które dotąd znane było tylko z niepoprawnych i niepozornych wydań, a na co świat uczony tak słusznie tylokrotnie się skarżył. Potrzebie téj zapobieżono zostanie przez trzy przepyszne wydania, w wiel. 8*vo*, w wiel. 4*to* i *in folio*, i, ażeby uniknąć utrudnionéj mnóstwem współgłosek pisowni, użyto do dzieła tego prostéj, na gruntownych zasadach opartéj, a przez pana L. de Gay zaproponowanéj pisowni czeskiéj, z niejaką modyfikacyją. Dzieło to złożone z pięciudziesiąt arkuszy w dwóch tomach, mające wyjść na jarmark lipski Ś. Michała r. b., drukowane będzie zupełnie w sposobie edycyi paryzkiéj »Poezyj Mickiewicza.« Jestto przedsięwzięcie literackie, zasługujące na uwagę wszystkich przyjaciół literatury, a mianowicie uczonego świata sławiańskiego.

Roku 1515 gdy Zygmunt I., król Polski, z innymi monarchami i posłami obcych dworów przyjechał na zjazd monarchów do Wiednia, mieszkał w domu, zwanym *Hasenhaus*, który miał być przez Macieja Korwina wystawiony r. 1485. Na tém miéjscu stoi teraz dom obszérny, na *Kärnthnerstrasse* pod liczb. 1139. — Tenże król trudnił się także malarstwem. W gabinecie ces. w Wiedniu znajduje się obraz klęczącéj Katarzyny, przez tego króla malowany.

O Annie Malinkowskiéj, że pisała, nic nie wspominają biblijografowie nasi. Ciampi przytacza jéj tłumaczenie na język polski dzieła włoskiego: *La dieta de Monaci Cistercensi.* Nie pisze jednak z którego roku.

Z Krakowa. Gazeta Krakowska donosi w Nrze 127. z d. 6. czerwca, pod napisem: »Kraków d. 6. maja (omyłka drukarska, powinno być czerwca),« że dnia 5go tegoż miesiąca, po godzinie 6téj wieczorem, skończyła się w Krakowie ośmiodniówka (oktawa) Bożego Ciała processyją od P. Maryi z tą samą okazałością, jak w pierwszym dniu tego święta. Celebrował JW. JX. Karol Skórkowski, biskup krakowski. Milicyja konna i piesza wystąpiła tu również w paradzie i pilnowała porządku. »Dotąd« mówi Gazeta Krakowska, »odbywało się w Krakowie 8 processyj B. C.

to jest: Zamkowa z kościoła katedralnego na Wawelu, Dominikańska z kościoła Ś. Trójcy w Ulicy Szerokiéj. Kazimierska z kościoła Bożego Ciała na Kazimierzu; Kleparska z kościoła Ś. Floryjana na Kleparzu; Wesołoa z kościoła Ś. Mikołaja na Wesołéj; Akademicka z kościoła Ś. Anny przy ulicy tegoż imienia; Piaskowa z kościoła ks. ks. karmelitów na Piasku; Maryjacka z bazyliki N. P. Maryi w głównym rynku miasta. Tego roku wznowiona została processyja Świętokrzyzka na małym rynku, która od 50 lat była zaniechana. Dwie są najgłówniejsze processyje: Zamkowa i Maryjacka, na których wszystkie władze krajowe i korporacyje znajdują się corocznie.« — Po tém opisaniu umieściła taż Gazeta pod napisem: »Konik Zwierzyniecki« co następuje: Corocznie po skończonéj processyi Maryjackiéj występuje na wielkim placu za pałacem biskupim znany już z tylokrotnych opisów Konik Zwierzyniecki na czele korporacyi włóczków z muzyką i bębnami. Wczoraj przy sprzyjającéj pogodzie tłumy ludu wysypały się ulicami Wiślną i Franciszkańską dla uczczenia starożytnego obyczaju. Drewniany konik na nogach zręcznego jeźdźca, ubranego po tatarsku, cudne wyrabiał obroty i ubawił prawie do zmroku kilka tysięcy widzów. Najmniejszy nieporządek nie zamieszał téj niewinnéj rozrywki, któréj, oprócz kilku policyjantów, żadna siła zbrojna nigdy nie assystuje. Wesołe tłumy powróciły do miasta i rozeszły się spokojnie. (Redakcyja przytaczając powyższy opis z Gazety Krakowskiéj nie może pominąć milczeniem uwagi, że puryści, co do smaku, szkoły francuzkiéj, wyrokujący według zasad Boala i Laharpa, tudzież niedowarzeni romantycy, którzy sami zowią siebie estetykami i poetami, lubo płodami swéj muzy tego powołania jeszcze nie dowiedli, zgorszyli się mocno z tego, że pan Kamiński w swoich »Szkalmierzankach« wprowadził na scenę drewniane koniki. Obyczaj ten w Krakowie ma swoje znaczenie historyczne. Podobny obyczaj panował także w jedném z miast włoskich (którego nazwy teraz sobie nie przypominamy), a może i do dziś jeszcze panuje, gdzie burmistrz z całą swoją powagą, w orszaku swoich urzędników podwładnych, wyprawiał, na zakończenie pewnéj uroczystości (podobnoś Patrona miasta), na takichże konikach *hecy*. (Ob. Simond de Simondi: *Histoire de la litterature du Midi.)* Wstrzymujemy się od dalszych uwag nad tak grubą dziejów ojczystych niewiadomością i nieznajomością sprężyn krotochwili dramatycznéj.)

Z Warszawy. Drugi koncert JP. Karola Lipińskiego, równie jak piérwszy, licznie odwiedzony i chwalony, odbył się dnia 2. b. m. Oto jest wstęp do recenzyi drugiego koncertu, umieszczonéj w Nr 158 Dziennika Powszechnego: »Jeźli piérwszy koncert, grany przez pa. Lipińskiego »d. 28. z. m. zasługiwał na nazwisko heroicznego, ów »z dnia 2. b. m. możnaby nazwać sentymentalnym. »W tamtym przebijała się głównie moc, w tym uczucie. — Dziennik Powszechny w Nrze 109 pisma swojego ogłasza: »Przybędzie w tym roku do Buska, w wojewódz. krakowskiem, dla uzupełnienia projektowanych przez siebie planów na zakład kąpieli mineralnych i domów mieszkalnych, budowniczy Rafał Zełazewicz, uczeń akademii paryzkiéj, który się tam wzorem pomysłów i przewyższającą dążnością odznaczył, i w nagrodę szczególnych poświęceń uzyskał powszechne uwielbienie nauczycieli, a od rządu medaljonem zaszczycony został. Znawcy, którzy widzieli te plany, dzielą zdanie, że budowle te, jeżeli ich uzupełnienie od talentu jedynie artysty zależéć będzie, śmiało się policzą między najpiękniejsze w Królestwie Polskiém.« — Tenże Dziennik z d. 13. maja pisze co następuje: »Miłośnikom sztuk pięknych i starożytności przyjemną zapewne będzie wiadomość, iż wyszedł z druku: »Spis obrazów, znajdujących się w galeryi i pokojach pałacu Wilanowskiego, z wyszczególnieniem przedmiotów godniejszych uwagi; własność br. Alexandra Potockiego.« — Wyszło tu także dzieło: »Rady dla matek, obejmujące przepisy pielęgnowania i hodowania dzieci w piérwszych latach życia; przez Wilhelma Malcza, doktora medycyny i chirurgii,« którem autor, w świecie lekarskim tak zaszczytnie znany, obdarzył matki polskie. Przytaczamy, co autor mówi do matek na stronnicy 7méj: »Na »was zwrócone są oczy wszystkich, matki! Piękne jest »wasze powołanie; wydanemu przez was potomstwu za»chować i osłaniać życie, zdrowie i siłę, w piérwszych »leciech istnienia. Do was należy i tylko wy zdołacie »czuwać nad tém, aby roślina wątła pod przyjaźnym »wpływem świata zewnętrznego darzyła się, rosła i za»kwitła; by z czasem, dojrzawszy, wyborne wydała owoce.«

W Petersburgu, oprócz teatru rossyjskiego, niemieckiego i włoskiego, otworzony zostanie także teatr polski, pod kierunkiem pana Szyttlera.

Journal d'Odessa z dnia 30go maja r. b. udziela ważnych szczegółów o odkryciach starożytności greckich w Oczakowie. Ostatniego lata znaleziono tam dosyć zachowany ułamek płaskorzeźby i torso (statuę bez głowy i nóg) najpodobniéj Herkulesa, lecz co na szczególną zasługuje uwagę, to ofiara kilku greckich naczelników wojennych dla Achilesa, władzcy północnego kraju nad Morzem Czarném. Napis grecki na tém dziele dosyć jest czytelny i pochodzi z najdawniéjszych czasów, gdy jeszcze w téj okolicy istniało miasto Olbiopol, do którego i to miejsce należało, gdzie te starożytności znalezione zostały. Kładziemy tu tłumaczenie tego napisu: »Łaskawa bogini »szczęściał Achilesowi, władzcy Ponto, pod rządem Kal»listhena, syna Satyra, naczelnicy wojenni: Minodor syn »Pontyka, Nabazos syn Noumena, Achil syn Syntrofa, »Badagos syn Kouzy, uczynili tę ofiarę dla pomyślności »tego miasta i zdrowia swojego.« Oczaków był w końcu 15go wieku przez Mengli-Ghereja, chana krymskiego, założony na rozwalinach miasteczka Alektory, które należało niegdyś do pewnéj Królowéj Sarmackiéj, i najpodobniéj, że przez Getów w tym samym czasie zburzone zostało, co Olbia, to jest: w 100 lat przed Chryst. Rzecz naturalna, że Alektora posiadała budowy greckie, z których wzięty materyjał posłużył poźniéj Tatarom do wystawienia Oczakowa, i dla tego badacz starożytności znajduje w tém mieście dzieła sztuki greckiéj, na cel rozmaity obrócone.

Przełożony St. Symonistów, ojciec Enfantin, i wielu należących do téj sekty, bawią ciągle dotąd w Alexandryi, w Egipcie; on sam żyje nader skromnie. St. Symoniści są bardzo zmartwieni, iż niespełniła się ich przepowiednia: że w r. 1833 znajdą matkę na Wschodzie. Dotąd na ojcu tylko poprzestawać muszą. Wielu zagorzelców tych zrzuciło w oczy wpadający ubior swój i sami starają się na chleb zarabiać. Pan Fournel umieszczony został przy paszy, jako inżynier do kopania min, a pan Lambert ma być dyrektorem szkoły politechnicznéj, która założona będzie. Obaj ci mężowie byli uczniami szkoły politechnicznéj w Paryżu.

Przypadek okropny zdarzył się w departamencie *d'Eure et Loire* we Francyi. Niejaki P. P. zrobił beczkę jabłeczniku, którą dobrze zaszpuntował. Nie dawno chcąc żona jego z dziećmi pokrzepić się po ciężkiéj pracy, natoczyła trochę tego jabłeczniku. Najmniejsza córka wypiła go szklaneczkę i trupem padła na ziemię. Z drugą stało się toż samo. Matka woła w rozpaczy o pomoc, przybywa lekarz i zapytuje ją, czyto w saméj istocie był jabłecznik. Matka potwierdza to, na dowód sama pije, i także trupem pada. Stoczono więc wszystek jabłecznik i na dnie beczki znaleziono nieżywego węża, który trucizną swoją zatruł ten napój.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.